

JAK IM PRZEBACZYĆ? c.d.

Osada Lerypol rozciągała się wzdłuż rzeki Kotry od Kurpik, aż po wioskę Ogrodniki. Obuchowski „rewkom”, chcąc skuteczniej zaskoczyć osadników, skierował do Lerypola dwie grupy uzbrojonych bojowców. W czasie, gdy ludzie Arciukiewicza wtargnęli do Górnickich inna drużyna, dowodzona przez samego Bołociuka, wkroczyła do Lerypola od strony Obuchowa. W pierwszej kolejności otoczyła dom Mazalewskiego. Osadnik, zaproszony na ważne zebranie w Kurpikach, bez sprzeciwu zaczął szykować się do wyjścia. Dorastający syn Mazalewskiego, powodowany złym przeczuciem, uchwycił ojca i krzyczał, że go nigdzie nie puści, a jak ojciec musi iść do Kurpik, to on pójdzie razem z nim. Obuchowcy nie wiedzieli jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Zachowując pozory wezwania na dobrosąsiedzkie zebranie nie chcieli tuc chłopaka w obecności całej rodziny. Trochę perswazją, trochę siłą, udało się obuchowcom odciągnąć chłopca. Gdy zbliżali się do zabudowań Czyża zauważyli, że chłopiec idzie za nimi.

Z Czyżem nie było żadnych nieprzewidzianych scen i bojowcy, prowadzący dwóch osadników, zbliżyli się do działki Golińskiego. Osadnika nie zastali w domu. Dorodna żona Golińskiego, córka Białorusina Śliziewicza z Kurpik, oświadczyła, że mąż wyjechał do Grodna i kazała przybyszom wynosić się natychmiast. Bołociuk nie uwierzył kobiecie, bo najświeższe doniesie-

nia obserwatorów mówiły, że Goliński przebywa u siebie w osadzie. Zarządził dokładną rewizję mieszkania i przeszukanie zabudowań gospodarczych.

Tymczasem Golińska, nie okazując żadnego respektu wobec białoruskich pobratymców, rugała ich nieustannie, używając niewybrednych słów.

Bołociuk nie reagował na żadne protesty. Od czasu do czasu dłużej zatrzymywał spojrzenie na zgrabnej sylwetce kobiety. Z zainteresowaniem lustrował falujący biust i kołyszące się biodra. Lubił oglądać takie rozwścieczone kobiety, gdy wyrażają gwałtownie narastające nastroje. Tylko Michaił Sidorczyk, nie dopatrując się żadnego uroku w stanie emocjonalnym Golińskiej, nie wytrzymał nerwowo.

- Zamknij wreszcie mordę, ty parszywa suko! - warknął wzburzony.

- Ty sam jesteś parszywy świński ogonie! I wynoś się stąd, bo śmierdzisz z daleka.

- Jeszcze gorzko pożałujesz swoich słów! Na kolanach będziesz żebrać o litość, ale nie będzie jej dla ciebie. Sidorczyk uznał, że wojowanie z babami jest dla niego ujmą i nie odzywał się więcej.

Golińskiego nie znaleziono. Poszukiwania pochłonęły tak dużo czasu, że obuchowcy nie mogli już zdążyć na umówione spotkanie z drużyną Arciukiewicza. Dlatego Bołociuk wysłał dwóch konnych posłańców z dyspozycjami do Arciukiewicza i zarządził marsz w stronę domu Mrocza.

Uprowadzenie Mrocza przebiegło sprawnie. Od jego zabudowań było już blisko do Barszcza i Górnickich. Przy drodze, rozdzielającej obydwie osady, rosła mała kępa lasu. Tu zarządzono postój, a Gabriel Jakusiewicz i Wołdzia Kowalczuk pobiegli do Górnickich, aby zbadać sytuację panującą w ich domu. Po kilkunastu minutach powrócili prowadząc żonę kapitana Jana Górnickiego oraz szesnastoletnią córkę Zosię, bliźniaczkę Tadeusza, zabranego wcześniej przez ludzi Arciukiewicza.

Na skraju lasu, w dużym wykrocie po zwalonym drzewie, kobiety zobaczyły trzech osadników. Naprzeciw stali trzej Białorusini z wymierzonymi w nich karabinami. Nie było wątpliwości, że za chwilę nastąpi egzekucja. Kowalczuk ustawił kobiety obok osadników.

Bołociuk skinieniem głowy zapytał kim one są. Podbiegł do niego Jakusiewicz i przekazał krótką informację. Kobiety były wystraszone. Zdawały sobie sprawę z tego, że ustawiono je do egzekucji, lecz zachowywały się spokojnie i z godnością.

Płynęły sekundy jedna za drugą, a komisarz nie podejmował żadnych decyzji. Uważnie przyglądał się kobietom. Ich subtelne twarze i miła powierzchowność wskazywały, że należą do innego lepszego świata, aniżeli ten z jakim stykał się codziennie. Imponowały mu takie delikatne kobiety, wychowywane z daleka od zła i brudów życia. W głębi ciemnego, bolszewickiego sumienia, miał odrobinę respektu dla ludzi delikatniejszych od siebie.

Krótką zaduma Bołociuka była dla obydwu kobiet uciążliwym czasem oczekiwania na wykonanie wyroku śmierci.

- Żenszczyń nie nada - powiedział komisarz ku zaskoczeniu wszystkich i machnął ręką w bok, aby poszły sobie precz.

Kowalczuk odepchnął kobiety od wykrotu.

- Poszły wont do domu - powiedział nieco rozczarowany decyzją Bołociuka.

Zagrzmiały wystrzały karabinowe. Ciała Jana Czyża, Pawła Mrocza i Jana Mazalewskiego osunęły się na dno wykrotu. Matka z córką szły w stronę domu spodziewając się kolejnej salwy, skierowanej w ich plecy. Idąc wolno, na wpół przytomne, dotarli szczęśliwie do domu. Dopiero tu, doznając nagłej ulgi, rzuciły się sobie w ramiona i zaczęły głośno szlochać.

Ucichły krzyki, ucichła strzelanina na łące Zarębskiego. Zrozumieliśmy, że przy drodze do Kurpik wydarzyła się jakaś tragedia, ale nie wiedzieliśmy jaka, bo fałda terenowa zasłaniała drogę i połączyła łąki. Zatrwożeni czekaliśmy na bieg dalszych wydarzeń. Jednak kłopotliwa cisza przedłużała się.

Na podwórku Zarębskich zaczęły gromadzić się żony i dzieci uprowadzonych osadników. Ktoś wszedł na strych i wyjrzał przez okienko.

- Wszyscy leżą! Wszyscy leżą zabić na łące! - krzyczał głośno.

Kobiety rażone bolesną informacją przebiegły kilka kroków w stronę łąki, ale zaraz zatrzymały się.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie! - zawołała Zarębska - może tam jest zasadzka i będą zabijać każdego, kto przyjdzie na łąkę.

- Ja pójdę pierwsza - zaproponowała goszcząca w Lerypolu siostra Pawlikowskiej - jestem samotna i śmierci nie boję się. Nawet jak mnie zabiją, to nikogo nie osierocę.

Zadeklarowana propozycja została chętnie przyjęta. Ruszyła więc pani Jodkowska w stronę łąki. Kilkanaście kroków za nią szły żony osadników uważnie obserwując przydrożne krzaki. Każda z nich miała jeszcze skrytą nadzieję, że jej mąż ocalał, albo jest tylko ranny i szybka pomoc może go uratować. Szły coraz szybciej i śmieiej, coraz mniej uwagi zwracając na zarośla. Widok, jaki ujrzały na łące, był przerażający. Ciała ich mężów, leżące w kałużach krwi, były zimne i martwe.

Kobiety klękały przy zwłokach, rwały sobie włosy z głowy, krzyczały, wzywały Boga. Płacz kobiet i dzieci, powtarzane słowa skargi, zlewały się w jeden głośny lament.

Z przydrożnych krzaków nieopstrzeżenie wysunęła się na łąkę stara Katieryna, zamieszkała w Kurpikach. Była kobietą pobożną i życzliwą innym ludziom. Krążąc po łące oglądała martwe ciała osadników.

- Hospody! Hospody - wzdychała ciężko - co oni zrobili? Co oni uczynili? Następnie zwróciła się bezpośrednio do kobiet.

- Przestańcie rozpaczać mileńkie moje, bo mężom i tak życia nie przywrócicie, a trzeba wam dzieci ratować i siebie też! W Kurpikach zmawiają się

ci zbóje, żeby was i dzieci wyróżnąć w nocy.

Kobiety otoczyły Katierynę i z uwagą słuchały jej słów.

- Uciekajcie stąd i nie wracajcie na noc do swoich domów, dopóki kurpikie swolocze nie wytrzeźwieją całkowicie. Powiadam wam, uciekajcie daleko, gdzie was oczy poniosą.



Grisza Pilec z Kurpik zagroził matce, że odrąbie jej łeb siekierą

Katieryna umilkła, rozejrzała się uważnie dookoła i nie już nie mówiąc schowała się w zaroślach. Jej ostrożność nie była przesadzona. Bojowcy z Kurpik i Pław głośno powtarzali mieszkańcom wiosek, że każdego, kto ostrzeże osadników, spotka surowa kara.

Emilia Kaźmierowna, żona Pacilimona Pilca z Kurpik, przyjaźniła się z rodzinami osadników. Wszyscy w Kurpikach o tym wiedzieli, toteż syn Grisza zagroził, że odrąbie jej łeb siekierą na własnym progu jeśli cokolwiek powie osadnikom o zamiarach wobec nich. Po kilku tygodniach, gdy sprawa morderstwa osadników nieco przycichła, Emilia opowiadała z żalem o



Gabriel Andrejewicz Pilec, kierownik jacejki komunistycznej we wsi Ogrodniki, uczestnik morderstwa osadników w rozmowie z autorem

groźbie siedemnastoletniego Griszy i o innych szczegółach tragicznych wydarzeń w Lerypolu. W 1991 roku odnalazłem starego Griszę Pilca. W rozmowie ze mną potwierdził, że groził matce odrąbaniem głowy siekierą.

Po oddaleniu się Katieryny przestraszone kobiety spoglądały po sobie, oczekując jedna od drugiej dobrej rady, czy słowa otuchy. Niestety, niczego skutecznego wymyśleć nie umiały. Ucieczka „gdzie oczy poniosą”, jak radziła Katieryna, była tak samo niebezpieczna, jak ukrywanie się w domu.

Pawlikowska pierwsza przerwała milczenie.

- Ja zabiorę dzieci i pojedę do Kotry, do brata. Tam żyje dużo Polaków...

Zarębska i Barszczowa, które też pochodziły z okolicznych zaścianków szlacheckich, uznały decyzję Pawlikowskiej za najlepszy sposób na ratunek. Ani my, ani Górniccy nie mieliśmy krewniaków w tych stronach. Byliśmy w gorszym położeniu. Mama rozplakała się.

- Boże, Boże, co z nami będzie? Co ja teraz pocznę? - żaliła się.

Rodzina Pawlikowskich wyróżniała się pobożnością i przestrzeganiem nauk kościoła. Być może teraz, w tragicznej chwili zagrożenia życia, nasza sąsiadka pamiętała o nakazie pomocy bliźnim.

- Jedźcie ze mną do Kotry - zaproponowała

- może Bóg litościwy ocali nas wszystkich.

Zaproszenie Pawlikowskiej zostało skwapliwie przyjęte. Teodora Górnicka nie wracała już do swojego domu, razem z czwórką dzieci zatrzymała się na naszym podwórku. Wspólnie szykowaliśmy się do ucieczki z Lerypola.

Naprzeciw naszej działki, na skraju Pasieki mieszkali starzy Pelkowie z dwoma dorosłymi synami Marianem i Wackiem. Jedyne córka Pelków była zamężna za osadnikiem Józefem Patykiem, zamieszkałym w Rokiciu. Pel-

KRESOWE STANICE

kwie nie byli osadnikami, dlatego na razie nie spotkało ich żadne nieszczęście.

Przed opuszczeniem Lerypolu matka wstąpiła do Pelków prosząc ich, aby ostrzeżenie Katieryny przekazali innym rodzinom osadników. Starej Pelkowej nie było w domu. Pobiegnęła do Rokicia, aby powiadomić zięcia i jego sąsiadów o wydarzeniach w Lerypolu. Ostrzeżenie Pelkowej dotarło w samą porę.

Dwoma wozami, załadowanymi podręcznym dobytkiem i liczną dzieciarnią, wyjeżdżaliśmy z rodzinnego Lerypolu. Na jak długo? Nikt z nas tego nie wiedział i nawet o tym nie myślał. Silnych emocji dostarczył nam pierwszy odcinek drogi. Przejężdżaliśmy obok łąki, na której leżały ciała mężów i ojców. Było nam ciężko, a może nawet wstyd, że uciekamy pozostawiając ich ciała na pastwę losu, na profanację...

Kilkaset metrów dalej droga zbliżała się do wioski Kurpiki. W milczeniu i wielkim napięciu mijaliśmy ten odcinek drogi.

Przed nami zarysowały się kontury domów białoruskiej wioski Sawalówka. Niedaleko wsi pracowały na polu dwie kobiety. Widząc wozy pełne dzieci i kobiet zbliżyły się do drogi. Pozdrowiły nas i zapytały dokąd podróżujemy w tak niespokojnym czasie. Nawiązała się rozmowa, w trakcie której nasze matki opowiadały o tragedii w Lerypolu. Białoruskie kobiety z przerażeniem słuchały relacji, żegnały się i wypowiadały słowa współczucia. Zapewniły, że możemy bezpiecznie jechać przez

ich wioskę, bo w Sawalówce nie ma żadnych band.

Po rozstaniu z życzliwymi nam kobietami zobaczyliśmy trzech mężczyzn, którzy na przełaj przez pola, od strony Obuchowa, zachodzili nam drogę.

- Stojcie! Stojcie! - wołali z daleka.

Zatrzymaliśmy się. Trzej Białorusini, skierowali w naszą stronę lufy karabinów, zbliżyli się do nas.

- Kto wy i dokąd jedziecie? - padło pytanie.

Powstał wielki zamęt. Ja, razem z innymi dziećmi, schowałem się pod wozem. Słyszałem krzyki napastników, płacz matek i szcęk przeładowywanych karabinów.

Białoruskie kobiety, które przed kilku minutami życzyły nam szczęśliwej drogi widząc co się dzieje, szybko przybiegły nam na pomoc. Z furją zaatakowały naszych prześladowców.

- Ach wy swolóczy! Nie pozwalacie kobietom i dzieciom spokojnie drogą przejechać? Zamordowaliście ojców, a teraz chcecie dzieci i kobiety zabijać? Co one wam zawiniły? Co one zrobiły wam złego? Wy antychrysty!

Kobiety znały osobiście uzbrojonych mężczyzn, bo używając wyzwisk nazywały ich po imieniu. Rosła i silna kobieta wyrwała karabin młodemu chłopakowi i rzuciła go w brudę kartofli.

- Ty jeszcze matce za mleko nie zapłaciłeś, a już wintówkę nosisz? Chcesz ludzi zabijać? - krzyczała wzburzona. - Zostaw tych ludzi w spokoju, bo cię zaraz ja upośledzę.

Interwencja obydwu kobiet mocno ostudziła zapędy napastników. Przestały nam grozić karabinami i zajęły się

utarczką słowną z naszymi wybawczy-
niami.

- Jedźcie sobie gdzie chcecie - po-
wiedział jeden z nich - ale i tak daleko
nie zajedziecie... Inni was „zabijuc”.

Jechaliśmy dalej rozglądając uważ-
nie czy nie pojawią się nagle jacyś źli
ludzie, którzy nas „zabijuc”. Szczęśli-
wie dojechaliśmy do Kotry. Brat pani
Pawlikowskiej Gedeon Jodkowski,
spokojny i honorowy szlachcic, życzli-
wie przyjął nieoczekiwanych uciekinie-
rów. Każdemu z nas znalazł dogodny
kął, nakarmił i pocieszył dobrym sło-
wem. W gruncie rzeczy bał się bardzo
o swoją rodzinę i o nas wszystkich,
choć nie okazywał tego. Przybycie
trzech licznych rodzin, pacyfikowa-
nych i ściąganych osadników, mogło
ściągnąć wielkie nieszczęście łącznie z
masową rzezią i spalaniem zabudowań.
Ryzyko było duże, bowiem Józef Ziuka
zabójca Antoniego Pawlikowskiego,
mieszkał w Kotrze.

Pan Gedeon wiedział, że w oko-
licznych wioskach nie brakuje rozbój-
ników, otumanionych przez propagan-
dę sowiecką. Wśród nich wyróżniali
się: Wasilij i Wołodzia Dzieniszczuk z
Huszczyc, Aleksander Żuk i Włodzimierz
Matys z kolonii Jurewicze, Kon-
stanty Pilec z kol. Łaszewicze i in. Po-
nad wszelką wątpliwość ktoś z nich
wiedział o naszym przybyciu do Jod-
kowskiego.

Pani Pawlikowska, mając od dawna
kłopoty ze zdrowiem, kiedy znalazła
się w domu rodzinnym, doznała po-
ważnego ataku serca. Nikt z dorosłych
nie wiedział jak jej pomóc i jakie będą
następstwa tego ataku. Tylko pan Ge-
deon, zachowując spokój i przytom-
58

ność umysłu, uwijał się nieustannie
między chorą siostrą, a nami uciekinie-
rami.

Rozłożono nam posłanie w stodole.
Prawie przez całą noc, nie mogąc
usnąć, nasłuchiwaaliśmy czy nie zbliża-
ją się do stodoły jacyś ludzie, którzy
będą nas mordować. Niepokoił nas
każdy odgłos, dobiegający z zewnątrz,
każdy szelest słomy. Siąpił jesienny
deszcz. Być może ten deszcz zniechęcił
naszych prześladowców do włóczenia
się po nocy. Przemienęła ponura noc,
pełna niepokojów i udręki. Deszcz
przestał padać, a światło dzienne po-
godnego poranka tchnęło w nasze ser-
ca trochę otuchy.

Około południa, odnalazła nas w
Kotrze pani Mroczkowa. Była spokoj-
na i opanowana. Powiedziała, że mu-
simy wracać do domu i zająć się po-
grzebem osadników. Władze w Obu-
chowie nakazały natychmiastowe po-
grzebanie osadników, zapewniając
przy tym, że nic złego rodzinom nie
grozi.

Mroczkowa z dziećmi oraz kilka
innych rodzin noc spędziły na modli-
twach u Szubowej w Budowli. Teraz
wszyscy powrócili do swoich domów i
czekają na nasze przybycie, aby wspólnie
zająć się pogrzebem.

Powróciliśmy do Lerypola. Po-
chówkiem pokierował Piotr Tołstiejko,
pracownik majątku gen. Antoniego
Szyllinga. Wykrot, w którym zamor-
dowano Czyża, Mazalewskiego i
Mroczka, został poszerzony i pogłę-
biony w takim stopniu, żeby mógł słu-
żyć jako wspólna mogiła dla wszyst-
kich osadników z Lerypola. Nie było
odpowiednich warunków, ani zezwole-

KRESOWE STANICE

nia na urządzenie katolickiego pogrzebu na cmentarzu w Żydomli. Zaś jedyny stolarz i cieśla Płachetko, zamieszkały w Pasiece, nie był w stanie wykonać trumien. Układano ciała mężczyzn na dnie dołu, owinięte w prześcieradła, w takiej kolejności jak mieszkali w osadzie: Zarębski, Pawlikowski...

W czasie pogrzebu, na skraju lasu, zebrała się gromada ludzi. Poza rodzinami osadników przybyło wielu Białorusinów, przyjaźnie nastawionych do polskich sąsiadów. Pojawiło się też kilku członków „rewkomu”.

Żona kapitana Górnickiego, która utraciła szesnastoletniego syna Tadeusza, siłą woli opanowała rozpacz i prosiła inne kobiety, aby przestały płakać.

- Nie płaczcie. Nie rozpaczajcie, niech ci zbóje nie widzą tego, jaki nam ból zadali. Niech się nie cieszą naszym nieszczęściem. Kobiety z trudem opanowały rozpacz i tylko cicho popłakując asystowały Piotrowi Tołstiejko.

Osadnicy z Lerypolu spoczęli na zawsze we wspólnej mogile, na ziemi, którą im nadano za to, że przez wiele lat walczyli o niepodległość Polski. Morderstwo w Lerypolu było dalszym ciągiem walki za Ojczyznę, było odwetem bolszewików za ich klęskę w 1920 roku.

Wśród nich brakowało tylko Golińskiego. Ukrywał się i żył jeszcze. Obuchowski „rewkom”, podsumowując akcję w Lerypolu stwierdził, że Goliński przechytrzył wszystkich członków komitetu.

- Jeszcze nie przechytrzył! - zaprotestował Bazelik. - Ja go dopadnę!

Aleksander Nikołajewicz Kurpik był wytrawnym, zręcznym złodziejem. Miał wrodzoną zdolność śledzenia ofiar i odgadywania, gdzie ludzie urządzają swoje kryjówki. Złodziejska pasja Bazelika obróciła się teraz przeciwko Golińskiemu. Złodziej dobrał sobie pomocnika Iwana Szyrko z Komotowa i we dwóch rozpoczęli poszukiwania osadnika. Obserwując członków rodziny, urządzali zasadzki. Udało się im wreszcie wypłoszyć osadnika z kryjówki. Goliński uciekał wzdłuż rzeki Kotry, kluczył, omijał Ogrodniki i Komotowo. Obydwaj napastnicy biegnąc za osadnikiem strzelali raz po raz. Goliński w pewnym momencie upadł, ale poderwał się zaraz i dalej uciekał. Biegł coraz wolniej. Był ranny i osłabł znacznie. Prześladowcy nie mogli go dogonić, bo sami szybko opadli z sił, a poza tym, gdy strzelali zatrzymywali się na chwilę.

Ścigany osadnik dobiegł wreszcie na brzeg Niemna. Nie miał już gdzie uciekać. Dostrzegł z boku ostrogę, wybiegającą daleko w poprzek rzeki. Pobiegnął ostrogą do przodu. Gdy znalazł się na jej końcu bez wahania skoczył do wody. Obydwaj Białorusini biegli już ostrogą. Stanęli i zaczęli strzelać do głowy człowieka ukazującą się nad powierzchnią wody. Głowa wynurzyła się jeszcze kilka razy i znikła na zawsze w nurtach Niemna.